RÓZGI

BIJĄ CO TYDZIEŃ

w numerze:

M. Samozwaniec

Z. Fijas

W. Słobodnik

L. J. Kern

Rok II · **10 sierpnia 1947 r.** **Nr 33 (53)**



Rys. KAROL BARANIECKI

HORACY SAFRIN

NA ŁONIE PRZYRODY

(List romantycznego kupca)

Drogi wspólniku!
Od dwóch tygodni bawię na wsi tu
i zapominam o zgiełkliwym mieście.
Leżę, na miękkim rozścieliwszy mchu,
koc z demobilu (cena tysiąc dwieście).

Tu, na przyrody łonie — można rzec —
z szefa hurtowni staję się poetą.
Łąki, biegnące wzdłuż samotnych miedz,
mienią się, niby na wystawie kreton.

Słyszę po prostu, jak dojrzewa chleb,
bo właśnie chłop o kamień kosę klepie
a nad nim nieba lazurowy sklep...
A propos sklep — co słychać u nas w sklepie?

Jak łososiowy brokat lśni się staw,
w powietrzu kwiatów woń i miodów pszczelich
(po sześćset złotych kilo!) — i zieleń traw
płowieje też ,jak przydziałowy drelich.

Słaby tu ruch. Kukułka liczy na głos,
szczęśliwa, bo przed nikim się nie chowa.
Czy jeszcze wciąż po kupcach chodzi B.O.S.? *)
Czy masz rachunek na ostatni towar?

Oprócz przyrody, traw i innych „lip",
poznałem tutaj w samotności sielskiej
pewną niewiastę — przedwojenny typ —
stuprocentową, jak materiał bielski.

Co do jej cnoty, trudno wydać sąd,
bowiem piżama w groszki kryje wdzięki,
ząbki jak perły, włos jej miękki, blond..
Co z perlonami? Jaki kurs ma „miękki"?

A zatym kończę. Skołatany łeb
znów na murawy układam wezgłowiu...
Napisz odwrotnie, kiedy zamkniesz sklep,
by nadwątlone poratować zdrowie?

*) B. O. S. — skrót niepopularnej wśród kupców Brygady Ochrony Skarbowej

Snoby i snopki

* *

Ciekawe, na kogoby naród zwalał odpowiedzialność za swoje wady, gdyby nie było rządu?

* *

Greka to b. trudny język: sami Grecy nie potrafią się nim porozumieć.

* *

Anglikom: Hindusi noszą opaski na biodrach, ale nie na oczach!

* *

Filmy polskie przypominają płyty gramofonowe. Nakręca się je, aż do zepsucia

* *

Gdy kupujesz pismo humorystyczne, nie narzekaj że jest drogie, albowiem znajdziesz w nim moc tanich dowcipów.

* *

W życiu można kochać tylko jedną kobietę. Jedną — na raz.

Chcesz, by uważano cię za mądrego? Nie wytykaj bliźnim ich głupoty.

* *

Nie wieszaj się nigdy na pasku od spodni! Wyobraź sobie jak śmiesznie będziesz wyglądał w wiszącej pozie z opuszczonymi spodniami.

* *

Piąte koło u wozu — koło zapasowe.

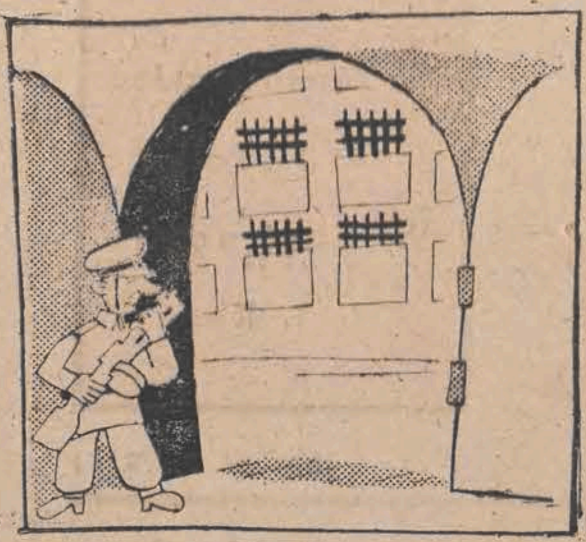
* *

Znam gościa, który pisuje sam do siebie listy. Otwierając je w towarzystwie mówi: — Przepraszam, właśnie otrzymałem list od pewnego poważnego człowieka...

JAN CZARNY

Po wykryciu afer:

cynowej / kożuchowej / papierowej



Ofi-cyna



Kawa bez kożucha!



Blady... jak papier

Rys. Karol Baraniecki

Różne nasze dzienne sprawy

Trudno określić, czy zachodzi tu przypadek ignoracji, [illegible]oczenia czy też — nie wahajmy się użyć tego słowa — sabotażu. Bądź co bądź, proszę państwa, takie nazwiska jak Dąbrowska, Kowalska, Kubacki, Kruczkowski, Kuryluk, Pigoń i Parandowski — powinny, zdawałoby się, gwarantować wybór właściwego laureata. Niestety, takie czasy „nastali", że nie można już nikomu ufać. „Jury" „Odrodzenia" zawiodły, przyznając nagrodę Iwaszkiewiczowi.

Protestujemy przeciw temu wyborowi! W imieniu dr. Mikułki i grona uczciwych lekarzy - ginekologów. W imieniu położnych, noszących uczciwą, barchanową bieliznę. W imieniu dyrekcji zakładu im. Anny Mazowieckiej i kliniki dr. Ellina. W imieniu donoszonych bliźniaczków, trojaczków i pięcioraczków. W imieniu Głównego Urzędu Statystycznego i redakcji — „Niedzieli", „Tygodnika Powszechnego", Tygodnika Warszawskiego", „Dziś i jutro" itd.:

Nagroda „Od — rodzenia" należy się tylko i wyłącznie Walentemu Majdańskiemu. Nie za jakąś niewyraźną „Nową miłość", ale za zdecydowane kopulacyjne i populacyjne arcydzieła p.t. „Kołyski i potęga" tudzież „Polska kwitnąca dziećmi". (oba wydane nakładem autora).

Czytelników, nie zdających sobie sprawy ze zjawiska, któremu na nazwisko Majdański, odsyłamy do recenzji Zygmunta Jakimiaka („Dziś i jutro", Nr 28, „Dwie książki Walentego Majdańskiego").

„Stoi tam napisane" ni mniej ni więcej:

„I stąd jest Majdański mężem stanu, moralistą, politykiem, statystykiem, filozofem, teologiem apostołem jednego prawa i t.p.".

I „t.p."? Niebardzo „it.p." Gdy bowiem Majdański w jednym ze swoich „szedewrów" porównuje „dzieciobójczą Polskę" z... Oświęcimiem (sic!), wydaje się, iż „stąd jest" przede wszystkim niepoczytalnym pomyleńcem.

* * *

Dziwna rzecz, organy prasowe, których organistą jest taki Majdański, zajmują się pilnie sprawą „nieurodzonych", a mało uwagi poświęcają „urodzonym". Urodzonym łajdakom, złodziejom, sabotażystom, łapownikom i t.d.

Ostatnio właśnie tak się złożyło, iż władze bezpieczeństwa diabelnie ożywiły sezon ogórkowy, wykrywając w rozmaitych częściach kraju rozmaitą ilość afer. Tu schwytano Sałacińskiego, Lipińskiego i innych „sukincynów", tam zdemaskowano Dolewskiego, ukrytego za tonnami kradzionego papieru, ówdzie zajrzano „za kożuchy" złodziejom kolejowym.

Fałszerstwa matur... Kradzież 2000 żniwiarek amerykańskich... Panama włókiennicza w Aleksandrowie... Proces szpiegowski Augustyńskiego i ks. Pawliny...

Dużo, bardzo dużo przestępców. Przypuszczamy, że nawet pionier populacji, Majdański, gotów westchnąć: oby się tacy nigdy w Polsce nie rodzili!

* * *

Pokłosie prasowe minionej dopiero co rocznicy Powstania Warszawskiego było dość obfite. Wiersze, nowele, wspominki...

Wspominano, naturalnie poległych na barykadzie. A może istotniejszym wyrazem hołdu dla bohaterskich obrońców Warszawy byłoby zorganizowanie jakiegoś funduszu pomocowego dla wdów i sierot z Powstania?

W potoku słów jakoś nikomu to do głowy nie przyszło.

Mgr. Różdżka

LUDWIK JERZY KERN

Wyznanie

Mnie tam nie skusi najlepsza partia,
od lat młodzieńczych taki mam hart ja.

Nie dam się nabrać na to lub tamto,
wiem co mam robić, wiem dobrze sam to.

Chociaż codziennie mam propozycje,
stale, niezmiennie biorę za nic je.

Mnie nikt nie znęci sercem lub flotą,
ja gwiżdżę na to, ja nie dbam o to.

Ja przede wszystkim swobodę cenię.
Nie proponujcie! Powiem wam, że n i e!

Nic już decyzji mojej nie zmieni.
Nie, niema mowy! Nie chcę się żenić!

Ja nie chcę zrobić — jak mówią — partii,
nie jestem tego poprostu wart i

niech się nikt, proszę, nie gniewa na mnie
i już do żadnej partii nie pcha mnie.

O, piękne panie, nie męczcie mnie już
i o mnie nawet nie marzcie w śnie już,

bo mnie nie skusi najlepsza partia...
Od lat młodzieńczych mam taki hart ja.



— Hurra! Wiwat! Wiedziałem, że jeśli nie w Ustce, to się napewno tutaj spotkamy.



Uliczne kursy dokształcające.



— Uff, ciężko, już wolę podnosić ceny w moim sklepie...



— Wiesz, Lolu, że ci wieśniacy są bardziej od nas opaleni. Ciekawe, jakiego kremu używają...?

Rys. Wacław Lipiński

MAGDALENA SAMOZWANIEC — Ilustr. REGINA KAŃSKA



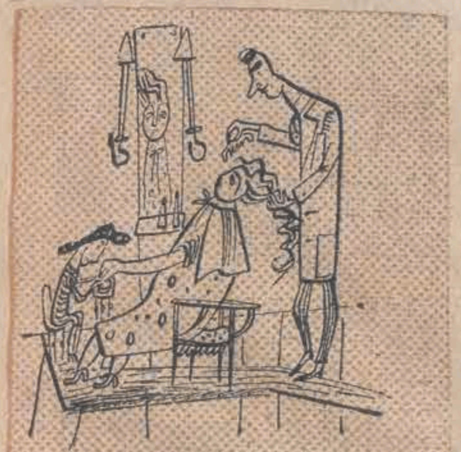
PAN KAZIMIERZ

— Czy widziałaś kiedy pogrzeb fryzjera? — oto głupi pensjonarski dowcipek ozdobiony pytajnikiem. Na to pytanie druga strona odpowie ze śmiechem: — Nie, skąd? Nigdy nie widziałam! A jednak, proszę, proszę panów, to nie jest dowcip, to jest smutna, a może wesoła, prawda: nikt nigdy nie widział pogrzebu fryzjera! Na „klapsydrach", jak mówi lud, też nie widzi się jakoś „podtytułu": „Mistrz Fryzjerski". Widzi się różne ciekawe kwiatuszki, jak niedawno na kościele O.O. Franciszkanów: dnia tego a tego taki a taki zginął „śmiercią motocyklisty"! Widzi się różne oryginalne napisy, ale o fryzjerach — cisza! Czyżby nie umierali? Panowie: Kazimierze, Romany, Feliksy, Emile, Adolfy nie tylko, że nie umierają, ale również nie miewają nazwisk.

Elegantka drugiej elegantce mówi w ten sposób: „Chcesz być naprawdę dobrze uczesana, to idź do „Romana" i poproś o „Pana Kazimierza..."

Nazwisk „Romana" i „Kazimierza" nie zna żadna z nich, nie zna również „panna Jadzia", manikurzystka w tymże samym zakładzie. Owi panowie, posiadający tylko imiona własne, miewają żony i dzieci (zawsze synka który z mamą przychodzi do zakładu na chwilę i mówi klientkom: „Cešć"! — (przykładając łapkę do skroni). Żony ich też nie noszą tajemniczych nazwisk mężowskich, ale mówi się o nich: „żona pana Romana", „żona pana Władysława" lub „Kazimierza".

Żaden psycholog, żaden Montherlant lub Pitigrilli nie zna tak kobiet na wskroś, jak np. „Pan Kazimierz". Mężowie i amanci! Idźcie kiedy za waszą damą do damskiego zakładu fryzjerskiego i podsłuchajcie ich rozmowę z tymi znawcami kobiet:



Dama: Panie Kaziu, czy pan jest wolny?

„P. Kazimierz": Dla pani dobrodziki — zawsze! Tylko skończę „trwałą", ułożę „wodną" i rozczeszę dwie główki...

Dama: To ja wobec tego pójdę, bo to będzie bardzo długo trwało!

„P. Kazimierz": Bynajmniej, pani dobrodziko, bynajmniej, to wszystko razem będzie trwało kwadransik. **(Bujanie kobiet to specjalność P.P. Balwierzy, od których mężowie powi--' się uczyć tego trudnego kunsztu).**

Dama siada więc, przekonana o prawdzie jego słów i przegląda ilustrowane pisma. Po godzinie siada na fotelu i znów zaczyna się dialog godny uwagi:

Dama: Źle dziś wyglądam, prawda? Przemęczenie. Za długo spałam, a przedtem dużo biegałam po mieście... No, i zajęcia domowe. Musiałam sama pójść do krawcowej... przymierzać...

„P. Kazimierz" (poważnie): Przepracowanie, pani dobrodziko **(kobietom nie wolno się sprzeciwiać)** Wszyscy dzisiaj przepracowani... Takie czasy...

Dama: Włosy mi wypadają, panie Kaziu...



„P. Kazimierz": Nic podobnego, pani dobrodziko, nic podobnego... Tyle co na grzebieniu. Żeby pani widziała włoski pani doktorowej Gruszczycowej! Tej to naprawdę włosy wypadają... niedługo będzie łysa.

Dama: Och, jaki pan miły, panie Kazimierzu. Doprawdy tak jej wypadają? Biedna kobieta! **(Uczcie się panowie jak to się tanim kosztem robi kobiecie przyjemność!)** Niech mi pan jeszcze powie, czy to... widać, że mam farbowane włosy?

„P. Kazimierz" (przyciszonym głosem) Gdyby nie to, że ja sam farbkę nakładałem, to przysiągłbym, że to naturalne, kolor...

Dama: Czy nie przypomina przypadkiem marchewki na głowie pani Majmodzińskiej?

„P. Kazimierz": Pani dobrodzika chyba żartujesz? U profesorowej Majmodzińskiej każdy laik i każda laika zauważy, że włos jest farbowany. Zresztą koloryt urody szanownej pani tak odpowiada tonowi włosów, że nikt nie przypuści, ażeby mogły nie być naturalne...

Dama: Wie pan, panie Kazimierzu, że mi już jakoś zmęczenie minęło. Czuję się już zupełnie wypoczęta. Jej! Co pan zrobił? Pan mi włosy przypalił! Czuć spalonymi włosami! Jak pan mógł!!

„P. Kazimierz" (nie tracąc równowagi duchowej): To tylko tłuszcz z włosków proszę szanownej pani, włoski nie były myte, więc pod wpływem rozgrzanego żelazka puściły zapach...

Dama (najzupełniej przekonana): No, to chwała Bogu bo to już się zlękłam, że spalone. A proszę pana, czy na takie zniszczone włosy można zrobić trwałą?

„P. Kazimierz" (węsząc zarobek): Tylko na zniszczone! Trwała ondulacja wzmacnia cebulki włosowe, rozgrzewa skórę i sprzyja porostowi...

Dama: No, to w takim razie przyjdę do pana zrobić trwałą w tym tygodniu...

* * *

Panowie Kazimierzowie i Feliksowie umieją też swoją mową zabawiać co inteligentniejsze klientki. Oto maleńki przykład:

„P. Feliks": Wero! Podaj mi szpilki! Wołam cię i wołam, a ty udajesz, że nie słyszysz!

Panna Wera: Przecież pan widzi, że jestem zajęta...

Klientka: No, to jest argument... ment...

„P. Feliks": Ona? — Straszny! Okropny „argument"! Już wolę Jadzię, chociaż i ta potrafi być „harpagonem..."



NA PODSTAWIE UKŁADU HANDLOWEGO POLSKA BĘDZIE DOSTARCZAŁA FRANCJI WĘGLA, A FRANCJA POLSCE M. IN. ŚRODKÓW TRANSPORTOWYCH



Czerwone i czarne

IGOR SIKIRYCKI

LIMUZYNA, BENZYNA I PIES

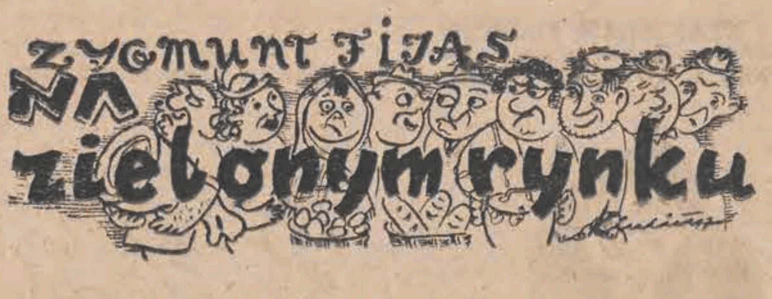
Ledwie został dyrektorem,
rzekł: „Kariera się zaczyna!
Wszystko idzie dobrym torem,
wkrótce będzie limuzyna".
Ach, limuzyna, benzyna i pies.

Do podwładnych palnął nowę
(przepisaną od kuzyna):
„Plan trzyletni! — Czasy nowe!".
No, a w duchu: limuzyna.
Ach, limuzyna, benzyna i pies.

Potem zaczął zwalniać ludzi,
tydzień w tydzień pół tuzina.
„— Jeden niech za trzech się trudzi,
grunt to tempo — limuzyna".
Ach, limuzyna, benzyna i pies.

Po miesiącu w każdym dziale,
co kierownik — to rodzina.
— „Dziadziuś chce też? — Doskonale!
Akceptuję. — Limuzyna".
Ach, limuzyna, benzyna i pies.

Tył i ważniał wśród swych kantów,
Aż wybiła zła godzina.
Wchodzi kilku milicjantów
— Proszę z nami! — Limuzyna.
Ach, limuzyna, benzyna i pies.



ZYGMUNT FIJAS
NA zielonym rynku

Wiele się mówi o spekulacji przez duże „S". Prasa, radio, ileż czasu tracą na to gadanie. Na naczelnym miejscu ciągle stoi napisane jak wół: „I znowu korzystając z zaufania, Ygrek sprzedał tyle a tyle worków bawełny. Tyle a tyle worków cukru. Tyle a tyle oleju kokosowego. Tyle a tyle nici."

Istnieje spekulacja, o której nie pisze się z taką emfazą. A przecież dokonuje się tutaj tych samych spustoszeń,co i w tej — przez duże „S".

Jest to spekulacja skromniejsza, jej pionierzy nie sypiają w sleepingach towar swój wożą sami. Biada ci jednak, przekupniu, który dostaniesz się w sidła tych mataczy. Zaćmią cię, zamydlą oczy, wetkną koper zamiast kminku, sprzedadzą cię na pniu, powymieniają na inne części; że nawet specjalna komisja nie odgadnie, co do czego należy.

Inna to jednak branża, chociaż jest rodzoną siostrzycą tej przez duże „S".

Twarze jej pupilów nie są jeszcze zaokrąglone. Są szare i zlemiste. Jeśli już przytrafi się jakaś czerwień czy fiolet, wiadomo, że organa te zawdzięczają swą barwność nie koniakom spod „Makarego" czy „Kopciuszka", — lecz zwyczajnym bimbrom czy — „denaturze".

Wiele jest rynków w Polsce.

Wiele jest rynków w Polsce, ale najpiękniejsze są rynki w Łodzi. Wiele jest pięknych rynków w Łodzi, ale najpiękniejszy jest Rynek Zielony. Nie dlatego, że składa się z dwu basenów, polskiego nie zasypanego, niemieckiego, zasypanego na skutek napaści prasowych. Także nie dlatego, że składa się z hali targowej PSS, w której można kupić o wiele wcześniej to, co można później nabyć drożej na rynku, — niestety, nie zasypanej jeszcze na skutek napaści prasowych. Poprostu dlatego, że posiada urok prowincjonalny, którego nie posiadają ani Rynek Wodny, ani, Bazary, ani żadne inne rynki Warszawy, Sochaczewa, czy Łowicza.

Ktoś zamierza nas oblać zupą.

Każdy nielegalny ośrodek handlowy strzeżony jest przez osobnika, którego obowiązkiem jest czuwać nad nielegalnością transakcji. Osobnik ten stoi na wysuniętej placówce, z koszem jabłek, czy innego obojętnego towaru, i daje znaki.

Jeśli daje znaki „sia", znaczy, że cielęcinę należy schować do — nogawki. Jeśli daje znak „git", znaczy to, że proceder może się odbywać bez żadnych obaw.

W naszym wypadku strażnik dał znak „sia". Wzięto nas bowiem za komisję.



I bylibyśmy może skończyli na tym miejscu (niebezpiecznie bowiem uchodzić za Komisję Specjalną i nie posiadać stosownej asysty), gdy z pomocą przyszedł nam przypadek.

Po każdym rynku krążą takie brudne, wędrowne jadłodajnie, i sprzedają zupę pomidorową, jagodową, rosół na kościach, flaczki. W tym dniu zupę nosiła piękność — o bicepsach jakby umyślnie stworzonych do pracy przymusowej. I już na nasze zapytanie, czy władza ma wgląd w mycie talerzy, bylibyśmy otrzymali całym baniakiem pomidorowej zupy, gdyby nie Staś Wątroba.

Kto to jest Staś Wątroba czyli koniec pieśni.

Staś Wątroba jest to taki totumfacki rynku. Każesz mu odnieść szafę uczyni to, oddasz mu spodnie w komis, gotówkę wróci. Przyjechał niedawno z Anglii, z samej Anglii, nie żadnych tam boków. Po to tylko wrócił, aby walczyć ze wstecznictwem. Poprzysiągł poprostu zemstę — zacofaniu.

A ponieważ z daną jadłodajnią już dawno miał na pieńku, jeszcze z roku 1939, kiedy był na tym samym rynku zamiataczem, więc postanowił przysięgi dotrzymać.

I byłby może przyjął w siebie całe osiem litrów zupy, gdyby na tę sposobność nie czekała inna dama. Kobieta o dłoniach jakby umyślnie ćwiczonych do tego rodzaju waśni i twarzy jakby specjalnie masowanej do tego rodzaju spięć.



Ponieważ ona miała na piwo z ową pięknością, więc po krótkiej wymianie słów, rozpoczęła się bójka, w wyniku której Staś znalazł się niebawem w szpitalu, my udaliśmy przygodnych przechodniów, obie zaś bohaterki rozpoczęły straszliwy koncert, który niebawem zakończył się nożami.

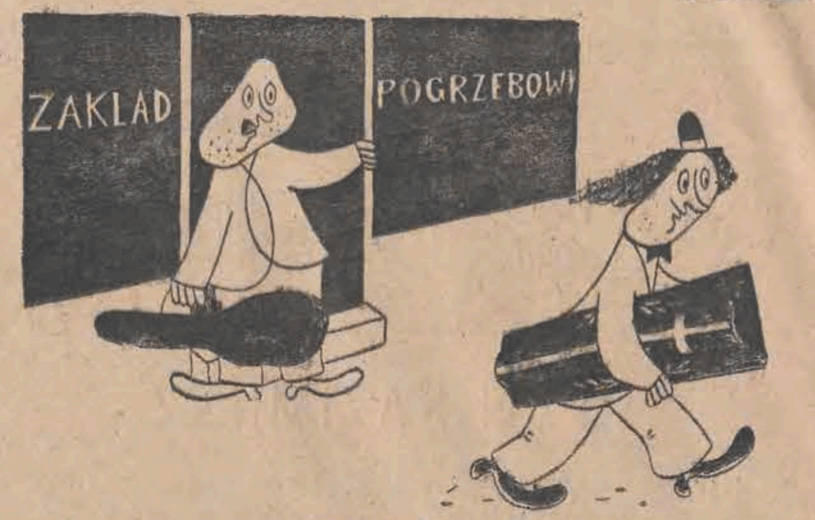
Nazajutrz dowiedzieliśmy się że obie damy otrzymały potężne mandaty. Wyciągnięto je z zagłębienia, jakie stanowi zakopany basen.

Zdaniem Stasia Wątroby zagłębienie to stanowić będzie jedną z najpoważniejszych kałuż błotnistych, jakimi rozporządza Łódź, i zostanie wypełnione ciałem owej damy, o ile mu zdrowie dopisze.

W czasie widzenia z autorem tego zdania doszliśmy do przekonania, że jednak istnieje na świecie stałość przekonań. Staś poprzysiągł nam jeszcze raz, że dotąd nie spocznie, dopóki nie napiszemy na temat drugiej strony rynku, gdzie żerują najwięksi Rockefellerzy jarzyn — hurtownicy. Tam bowiem owa dama ma swych wielbicieli i ona jest ich cichą wspólniczką.

Przysięgliśmy mu jak najsolenniej.

Ilustr. Zbigniew Kjulin



POMYŁKA

Rys. Baro

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

BALLADA o STAROPANNICOWIE

W miasteczku Staropannicowie,
Które z szarego nieba słynie,
Panna Melania wystukuje
Swój smutek w biurze na maszynie.

Brzydka jak księgą rachunkowa,
Zgorzkniała, chuda i leciwa,
Z rajskiego drzewa podczas pracy
Owoce zakazane zrywa.

Nawiedza bowiem ją widzenie:
Donżuan staropannicowski,
Co baczki ma jak Valentino,
Albo jak książę Poniatowski.

I mówi tak: „Panno Melanio,
Przed bramą czeka koń mój biały,
Ruszymy za nim w świat daleki
I przesadzimy góry, skały!"

Za oknem niebo ma wypieki,
Bo jest to właśnie zachód słońca,
Panna Melania na maszynie,
Jak na rumaku, pędzi drżąca.

I nagle, kiedy w końskiej grzywie
Czerwieni się zachodu koral,
Rozlega się tubalny, twardy
Głos surowego dyrektora:

„Panno Melanio, maszynopis
Aż roi się od błędów. Proszę
Poprawić je, ale uważnie,
Bo roztargnienia ja nie znoszę!

Cóż to się z panią dzisiaj dzieje,
O, maszynistko, doskonała,
Że zamiast „paczki" wszędzie „baczki"
Kochana pani napisała?"

Panna Melania poprawiła
„Baczki" na „paczki". Oh, panowie
I panie, kres ballady smutnej
O szarym Staropannicowie.

349000 TONN PSZENICY Z USA DLA NIEMIEC



Pszenicowani

Rys. Regina Kańska

MARIA ELDER

Mąż wszystko zauważy

Pamiętacie popularne ogłoszenia w gazetach przedwojennych: „ja, Anna Csilag, z moimi 185 cm, miękkimi jak jedwab jasno - kasztanowatymi włosami?..."

Takie właśnie włosy miała żona starszego referenta Pulardy. Miękkie jak jedwab, jasno-kasztanowate, długości 185 cm.

Pularda bardzo był dumny z włosów żony.

— Moja stara — mawiał — kobieta pod pięćdziesiątkę, a warkocze ma jak koński ogon. I w ogóle jak się uczesze w koronę — proszę siadać. Emilia Plater albo Dziewica Orleańska. Styl ma, uważacie...

Styl widać jednak sprzykszył się Pulardowej, gdyż pewnego dnia rzekła do męża:

— Wiesz, co, Karolu, nosić takie kudły to doprawdy nie ma sensu. Ciężko i ani z tym pójść do ondulacji. Co powiedziałbyś na to, gdybym sobie dała obciąć te moje warkocze?

Pularda aż podskoczył na krześle.

— Obciąć warkocze? — krzyknął — W twoim wieku? Zwariowałaś?

— Wiek nie odgrywa roli — zauważyła chłodno „starsza referentowa" — Najstarsza z moich przyjaciółek nie nosi tak długich włosów jak ja...

— Niech sobie nie nosi! — burknął Pularda — a ty będziesz nosiła. Przyzwyczaiłem się od lat trzydziestu do twojej fryzury i nie będę na starość gustu zmieniał. Zrozumiano?

Pulardowa nie dawała jednak za wygraną. Naglona przez przyjaciółki („nie masz pojęcia co za rozkosz być czesaną przez fryzjera") „piłowała" co dzień męża o pozwolenie obcięcia włosów. Nadaremnie. Starszy referent miał silne zasady i upodobania i nie chciał się zgodzić.

— Za nic w świecie! — oświadczył — Jeśli tylko zauważę, że pozbawiłaś się warkoczy — rozwód! Nie chcę mieć żony kokoty i już!

Upór męża sprawił, że następnego dnia Pulardowa poszła (na złość) do fryzjera i dała sobie obciąć włosy.

Gdy powróciła do domu i spojrzała w lustro, przestraszyła się bardzo:

— Ależ się urządziłam! — westchnęła, stwierdzając niekorzystną zmianę w wyglądzie — Co to będzie gdy Karol przyjdzie na obiad...

Nic jednak jakoś nie było. Coprawda, gdy niepewną ręką podawała mężowi zupę, ten zawołał:

— Cóż ty tak drżysz? przewrócisz talerz! — ale zaraz potem zabrał się łapczywie do jedzenia, rzucając od czasu do czasu gromy na powojenne zdziczenie obyczajów.

— Twoja chęć obcięcia włosów — powiedział surowym głosem, spoglądając na Pulardową — to woda na młyn dzisiejszego upadku moralności! Gdybym ci pozwolił...

Przerwał przysuwając sobie półmisek z potrawką z kury w rakowym sosie.

— Pycha! — mlasnął językiem i zadowolony rezonował dalej, nie widząc, że żona, blada i zmieszana, stara się ukryć „podstrzyżoną" głowę w cieniu abażura.

Kiedy zjadł dwie porcje potrawki, tuzin jabłek w cieście, wypił czarną kawę, ziewnął i zapalił papierosa, Pulardowa zebrała się na odwagę, wysunęła fryzurę z cienia i zapytała nieśmiałym głosem:

— Słuchaj, Karolu, czy ty nic nie zauważyłeś?

Pularda otworzył szeroko oczy:

— Nie zauważyłem? — zawołał — Ależ, naturalnie, że zauważyłem: potrawka była przypalona! ale to nic nie szkodzi, ja się nie gniewam, bo za to jabłka były wspaniałe!

JERZY ZAJĄCZKOWSKI

Na „lewo"

Z lewym papierkiem, z lewą przepustką
kręcą się szuje i aferzyści.
Między Tatrami a modną Ustką
jeżdżą i grubsze węszą korzyści
Papier, nie papier, cyna, nie cyna,
wszystko jest dobre, co śmierdzi kantem.
Pieniążki w portfel. Bibka. Dziewczyna.
I byle dalej jakoś pchać kram ten,
I żyć beztrosko, jak ptak (— niebieski!)
Jak Sałaciński lub jak Dolewski...

Nie wiem, doprawdy nie wiem, czy dużo
jest jeszcze w Polsce podobnych ptaków,
którzy niejeden obsiedli urząd
i którzy dudków robią z Polaków?
Lecz wiem, że wszystkich takich fircyków,
dużych i małych, z pod gwiazdy ciemnej,
tych czynowników vel cynowników,
trzeba pod kluczyk. Będzie przyjemniej.
Trzeba raz skończyć z draństwem łupieskim,
tak jak z Lipińskim, tak jak z Dolewskim...

To nie przelewki, to nie są kpiny,
trzeba oczyścić z bandytów rynek.
Nie będzie odtąd nikt z sztabek cyny
fundował sobie sztabu dziewczynek.
Na nic stosunki i znajomości,
Na nic zasługi, legitymacje.
Złodziej to złodziej. Niema litości.
Trzeba nareszcie zrobić kurację.
Niech skończy każdy ptaszek niebieski
jak Sałaciński lub jak Dolewski...

STANISŁAW SOJECKI

* * *

Wojna nam zmieniła gusty —
Powstał — rzekł byś — człowiek nowy,
Zaczem prasa nowy pokarm
Ma na sezon ogórkowy.

Ongi cielę o dwóch głowach,
Albo srogi wąż w jeziorze —
Dziś nie starczy Czytelnikom
Temat o podobnej grozie.

Płyną tedy z świata wieści,
Co czerwienią się najkrwawiej,
Że Holender zrzuca bomby
Na tubylców gdzieś na Jawie,

Że się w Grecji albo w Chinach
Zabijają wzajem bliźni,
Że na Cyprze powstał obóz
Dla tych, co śnią o Ojczyźnie!

Gorzki sezon! W te „ogórki"
Któż uwierzy? Któż je strawi?
Ten co posiał to warzywo,
Oby pierwszy się udławił!

FRASZKI

LUDWIK JERZY KERN

SPRAWIEDLIWOŚĆ

Iwaszkiewicz za swoją „Nową Miłość"
dostał ćwierć miliona złotych.
A ja — mam codziennie nową miłość
I nic... Same kłopoty...

JAN CZARNY

NA „ROZGI"

O tempora, o mores! O hańbo, o wstydzie!
„Rózgi" piją codzień, zamiast „bić co tydzień"!...

WŚRÓD RODAKÓW

Znaleźli wreszcie wspólną platformę,
w tramwaju — lecz spór wynikł nowy,
bo jeden kupił bilet normalny,
a drugi bilet ulgowy.

POCHWAŁA

Różą stroją główki panny płoche, młode
Bardzo dobrze czynią: kwiaty lubią wodę...



K. PILECKI (Poznań)
Sam to przyznam,
że się boję
przysłać Wam
utwory moje.
A dlaczego?
Z tej przyczyny,
że zrobicie
z tego kpiny.

Obawy pańskie są słuszne. Rzeczywiście, nic innego „z tego" nie można „zrobić".

HALINA S-A (Wrocław) Pisze pani: „nie samym chlebem wszak, panie Redaktorze, człowiek żyje, więc trochę się czyta; trochę się także pisze"

Że się czyta — rozumiemy i pochwalamy, ale dlaczego także się pisze?

S. STRAŻ. (Cieszyn) Grozi pan:
Zrzednie Sz. Redakcji mina,
kiedy wyrżę list z Cieszyna!

Zobaczymy. Nie Straż, nie Straż, bo się....

ZYGMUNT BUTTNER (Białystok) Niepokoi się pan, czy otrzymaliśmy list z załączoną humoreską: „Wysłałem go expressem poleconym".

List otrzymaliśmy. Nie potrzebnie się pan śpieszył. I tak byśmy przecież zdążyli odpowiedzieć: nie skorzystamy.

ZDZISŁAW D. (Łódź) Nomen omen. Rysunki — do pierwszej litery nazwiska.

„MALEŃKA" (Kraków) Adres L. J. Kerna? Po co? Żonaty, troje dzieci.

„GORLIWA CZYTELNICZKA" (Toruń) Ma pani rację. W najbliższym numerze „Rózeg" damy następujące ogłoszenie: „Potrzebny natychmiast rutynowany toreador. Do zwalczania byków — drukarskich".

E. NORSKA (Warszawa) Dziękujemy za życzenia. W sprawie prenumeraty „Rózeg": R. S. W. „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 19, Wydział Kolportażu.

Marzena L. (Skarżysko) Nadsyłając bardzo dużo rozmaitych wierszyków donosi nam pani: „to nie ja, panie Redaktorze, to moi przyjaciele odkryli we mnie talent".

My jesteśmy przyzwoitsi. Nie odkrywamy.

W. TELEŻYŃSKI (Wałbrzych) Utwór o „prezydencie" Auguście Zaleskim? Nie warto. „De Augustibus non est disputandum".

JAN G. (Koło) Pisze pan: „uprawiam taniec, śpiew, malarstwo i literaturę".

Jeśli chodzi o literaturę, to — sądząc z nadesłanych „próbek" — nie tyle pan ją uprawia, ile raczej nawozi.

„VALGODESCO" (Częstochowa) Oj, przydałoby się walnąć szanownego pana. I to nie tylko deską, ale czymś cięższym.

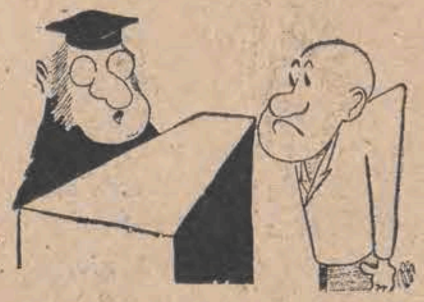
SIDOR ST. (Pabianice) Prosimy o osobiste porozumienie się z redakcją.

FELIKS UŁŁAK (Tarnów) Prosi pan: „możeby panowie szerzej poruszyli w swoim poczytnym piśmie sprawę tłoku w kinach".

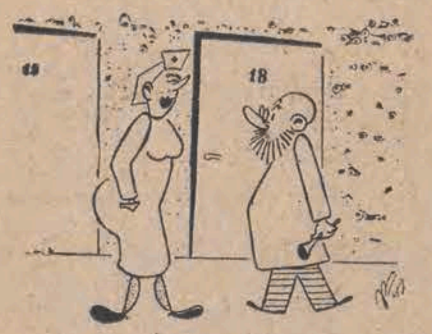
Poruszymy szerzej. Damy na pierwszą stronę rysunek, przedstawiający Otella, który nie ma serca udusić własnoręcznie Desdemony: posyła ją po bilet do kasy kinowej.

„GUZIK" (Stryków koło Łodzi) „Wybrałem sobie ten pseudonim autoironicznie, ponieważ wiem że z moich wysiłków by być wydrukowanym w „Rózgach" — guzik".

I rzeczywiście.



— Jestem pewny, że już więcej oskarżonego nie spotkam...
— A co pan sędzia idzie na emeryturę?



— No, i jakże tam z sercem naszego pacjenta?
— Świetnie, panie doktorze, już dwa razy mi się oświadczył!



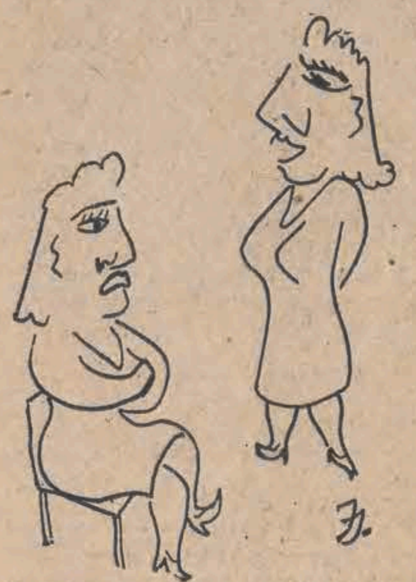
Rys Janusz Zarębski

— Dlaczego pozwala mu pani tak długo krzyczeć?
— Gdybym mu nie pozwoliła to wrzeszczałby jeszcze dłużej!



Rys. Zbigniew Kiulin

— Ty, coś taki czysty? Nie chodzisz na robotę?
— Chodzę, ale dostałem dzielnicę z centralnym ogrzewaniem...



Rys. Jerzy Jankowski

— Czemu siedzisz taka smutna? Mąż się zdradza?
— Nie, tylko on też siedzi!

PRZYGODA w parku

JAN CZARNY

Park, wypełniony po brzegi białymi wózkami dziecięcymi podobny był do wylęgarni. Siedziałem na ławce i czytałem. Przybliżył się jakiś gość o rudym zaroście i z obandażowaną ręką. Usiadł, zarzucił nogę na nogę i spytał: czy można?

— Proszę... odmruknąłem i zagłębiłem się w lekturze. Ale nie na długo, bo oto przybysz wyjął blaszane pudełko z tytoniem i zaczął „kręcić" papierosa:

Trudno mu było z tą obandażowaną ręką: porwał bibułkę, rozsypał tytoń, powtórzył tę czynność trzy razy, aż wreszcie blaszane pudełko upadło z brzękiem na ziemię, a zirytowany właściciel potężnym kopniakiem posłał je na środek klombu z różami. Po tym wyczynie, z szybkością człowieka chorego na żołądek a szukającego klucza od ubikacji, począł wywracać podszewkę kieszeni. Widocznie szukał papierosów. Wyjąłem swoje „Hele":

— Proszę — rzekłem — niech się pan poczęstuje!

Gość chwycił zdrową ręką dwa papierosy, z których jeden umieścił za uchem a drugi włożył do ust. Aby ukryć zdziwienie, spytałem go;—co panu w rękę?

— Pies mnie ugryzł — odparł.

— Hm, pies — zauważyłem współczująco — to przykre. A był pan u lekarza?

— Byłem. Powiedział, żebym się z nikim nie gryzł i nie pożyczał swej szczoteczki do zębów...

Tu mój rozmówca włożył papierosa palącym się końcem do ust i zawył dziko, przy czym oczy nabiegły mu krwią i stały się podobne do jego ognistych włosów.

— Nie chce pan wierzyć?! — zawołał — Ha, to opowiem! Z tym psem to było tak. Mój brat ma piekarnię i jest bardzo dobry... Kiedy brałem ślub, pożyczył mi spodni. I wogóle można powiedzieć: — ja na niego kamieniem, a on na mnie chlebem...

W tym miejscu rozczulił się, wyjął bułkę i zaczął ją szarpać żółtymi zębami. W międzyczasie na ławce przy nas usiadła jakaś kobiecina z wózkiem i starzec z długą brodą. Starzec trząsł się zaintrygowany, — kobiecina zaś nogą kołysała wózek.

— Z zawodu jestem fryzjerem — ciągnął dalej miedzianowłosy — I nigdy nie rozstaję się z brzytwą...

Przy tych słowach wyjął z kieszeni brzytwę w pomarańczowej oprawie, mignął nią w słońcu, złapał stojącego opodal wyrostka za zwieszający się u spodni pasek na tym pasku przeciągnął trzy razy brzytwę.

— O czym to ja...: — przypomniał sobie raptem — Aha: Podczas wojny rosyjsko — japońskiej służyłem w dragonach i goliłem żołnierzy. Pod Cuszimą zsiadam z konia i golę pewnego admirała. Miał spory, twardy zarost. Kiedy przyszło do płacenia, okazało się, że admirał nie żyje i do dzisiaj nie wiem czy zarżnąłem go przy goleniu czy też zginął od kuli japońskiej?

— Przepraszam — przerwałem — miał pan opowiadać o wypadku z psem!

— Racja — ucieszył się pogryziony — Zupełnie zapomniałem. Otóż na podwórzu piekarni mojego brata jest pies. Ma budę o szczególnej budowie. Przywiązany jest do kółka...

— O! — krzyknął nagle, przewracając wózek z dzieckiem — Ten właśnie wózek przypomina budę, a tu, do kółka przywiązany był pies....

To mówiąc ściągnął z lewej nogi but i przywiązał go sznurowadłem do kółka, a spoglądając na mnie badawczo, dodał:

— Rozumie pan?

— Rozumiem, rozumiem — rzekłem, aby go uspokoić.

— Nie! Pan nie rozumie, widzę to po pańskiej twarzy! — krzyknął i oczy krwią mu nabiegły. — Pan nawet nie wie, że pies był kudłaty!

— Wiem, wiem — przerwałem.

— Nic pan nie wie! — zawołał i zaśmiawszy się dziko, błyskawicznym ruchem brzytwy uciął siedzącemu obok starcowi pół brody, wpychając zdobycz w cholewę buta.

— Otóż tak... — oświadczył zadowolony — Teraz panu wiadomo, że pies był kudłaty...

Spojrzałem zaniepokojony, rudzielec zaś wystąpił z propozycją:

— Wyobraźmy sobie, że pan jest psem, a ja jestem ja, pan się na mnie rzuca i gryzie mnie; a ja za brzytwę i...

Nim dokończył, zerwałem się jak szalony i pędem puściłem się na przełaj przez grządki z kwiatami.

Kiedy znalazłem się w porządnej odległości od rozmownego fryzjera i odwróciłem się, stał na ławce z błyszczącą brzytwą w ręku i wołał:

— Panie! Niech pan wróci! Zapomniałem powiedzieć, że pies był wściekły!

M. JAKOWLEW

Trzy po trzy

Gdy przeziębiony jest zona dyrektora rozgłośni, kaszle radioodbiornik.

* *

Po redaktorskiej przeróbce utwór staje się podobny do balowej sukni z czarną, barchanową łatą.

* *

Pewne pismo swoim rocznym prenumeratorom przesłało w charakterze premii wykaz błędów drukarskich popełnionych w ciągu roku.

* *

Myślał tylko w czasie chodzenia, ale przeważnie jeździł dorożką.

* *

Podsunął lekarzom cudze roentgenologiczne zdjęcie i cieszył się, że nie znaleźli u niego żadnej choroby.

* *

Jego umysł podobny był do licznika z ogranicznikiem: wyłączał się automatycznie, gdy tylko obciążenie było za duże.

* *

Zrobił sobie 5-cio minutową fotografię, by podarować swej ukochanej na wieczną pamiątkę.

* *

Gdyby się zapoznał z Napoleonem, to na drugi dzień po zawarciu znajomości przywitałby go słowami: jak się masz Napoleosiu!

* *

Pejzaż z lasu sosnowego przyciągał ogólną uwagę swoją wspaniałą ramą z dębowego drzewa.

* *

W limuzynie siedział sztandartowy młody człowiek z rzędu tych, których produkuje się razem z samochodami.

* * *

Krytyk umniejszał wartość autorów poprzedzając ich nazwisko słowami „niejaki" i „pewien". Gdyby żył pareset lat temu, pisałby z pewnością: niejaki Szekspir" i pewien Cerwantes".

* * *

Fotoatelier powiększało portrety pisarzy do wielkości Adama Mickiewicza.



— Widzisz bydlaku, tak się aportuje!

WŚRÓD DUCHÓW



— Wczoraj znów teściowa wywołała mnie na seans spirytystyczny.

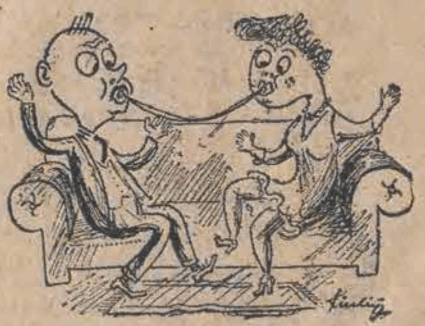


— Musiałam przecież wreszcie uprać nasze łachy!



Rys. Baro

— Wybacz, najdroższa, że się spóźniłem: lekarze mnie zatrzymali!



Rys. Zbigniew Kiulin

Miłość i guma do żucia.

„Rózgi" ukazują się co tydzień REDAKTOR: Stefan Stefański — REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 86 — telefon 254-20 wewn. 8.
Przyjmuje się codziennie od 12 ej do 14 ej. Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42 D—017487